



WSCHODNI MIRAZ

listopad 2008



AKCJA NAKARM WSCHODNI MIRAŻ!

Wyślij swój tekst i dołącz do Redakcji!

spis treści

Słowo od Redakcji.....	3
DAGMARA BOŻEK	
Redakcja Wschodniego Mirażu.....	4
Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej cz. I.....	6
MICHAŁ MILCZAREK	
Jedziemy na wycieczkę, czyli subiektywne wrażenia z pobytu na Białorusi.....	13
ANNA KUCHARSKA	
Wakacje z "biletasem" w ręku.....	17
DAGMARA BOŻEK	
Wieści ze Wschodu.....	19
ARIADNA HABRYŃ	
Syberyjska chałta dziś.....	20
MARCIN STRYŻEWSKI	
Wakacyjna przygoda.....	22
ANNA CYGAL	
Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej cz. II.....	25
MICHAŁ MILCZAREK	

słowo od redakcji



Drodzy Czytelnicy!

Witam serdecznie po przerwie wakacyjnej nowym i jak zawsze interesującym numerem *Wschodniego Mirażu* – znajdziecie w nim to, co najbardziej podniesie Was na duchu na progu nowego roku akademickiego, a więc wspomnienia i relacje z wakacyjnych podróży, na które czasu i pomysłu jak zawsze nie brakuje. Polecam wyprawę do Azji śladami Michała Milczarka, obejrzenie chaty syberyjskiej, w czym pomoże tekst Marcina Strzyżewskiego, czy wreszcie uzupełnienie wiedzy o bieżących wydarzeniach na Wschodzie, które dla nas przygotowała Ariadna Habryń.

Niniejszy numer *Wschodniego Mirażu* ma nieco odmienny charakter, co widać na przykładzie doboru tekstów – prawie wszystkie są o podróżach, gdyż koresponduje to z okresem wakacji, które przecież nie tak dawno się skończyły. W kolejnych numerach pojawią się już teksty z różnych działów, tak jak to było dotychczas.

Ponadto czekają nas pewne zmiany w Redakcji – już teraz bardzo gorąco pragnę podziękować koledze Bartkowi Szewczykowi za owocną współpracę i życzyć powodzenia we wszystkich dalszych przedsięwzięciach.

Wschodni Miraż czeka na ludzi z pomysłami, redaktorów poszczególnych działów, autorów ciekawych tekstów i dlatego zachęcam wszystkich, którzy byliby zainteresowani współpracą z naszym pismem do przesyłania swoich artykułów, zdjęć, sugestii czy komentarzy na adres: wschodnimiraz@gmail.com. Na bieżąco będą też dostępne informacje o spotkaniach redakcji, na które może przyjść każdy z Was.

Serdecznie zapraszam i życzę
miłej lektury :)

Dagmara Bożek
Redaktor naczelny

Redakcja „Wschodniego Mirażu”

Redaktor naczelny:

Dagmara Bożek, III rok KRiNS-u, tel. kom. 668 049 938,
e-mail: dagmarabozek@wp.pl

Redaktorzy działów:

„Poznajemy nasz Instytut” – **Joanna Wolańska**, IV rok filologii rosyjskiej,
tel. kom. 606 307 164, e-mail: hisafo@wp.pl

„Kultura” – **Adam Nowakowski**, III rok KRiNS-u,
tel. kom. 506 210 595, e-mail: hamsun@inmail.cz

„Muzyka” – **Ewelina Czarnik**, III rok KRiNS-u,
tel. kom. 505 321 839, e-mail: pigva@poczta.onet.pl

„Sport” – **Eliza Dudek**, V rok filologii rosyjskiej,
tel. kom. 502 831 095, e-mail: leila777@op.pl

„Wieści ze Wschodu” – **Ariadna Habryń**, II rok KRiNS-u,
tel. kom. 500 562 501, e-mail: badly.w@gazeta.pl

„Kuchnia od Bugu po Lenę” – **Tomasz Włodarczak**, IV rok KRiNS-u,
tel. kom. 511 619 368, e-mail: wlodarczaktomek@poczta.fm

Korektorzy artykułów:

Dagmara Bożek, III rok KRiNS-u,
tel. kom. 668 049 938, e-mail: dagmarabozek@wp.pl

Skład i Łamanie:

Marlena Kos, IV rok KRiNS-u,
tel. kom. 660 691 568, e-mail: marlena.kos@gmail.com

Oprawa graficzna i plastyczna:

Marlena Kos, IV rok KRiNS-u,
tel. kom. 660 691 568, e-mail: marlena.kos@gmail.com

Marek Litwin, III rok KCDW na IFO UJ,
e-mail: mnms@op.pl

Specjalne wydanie



koło on tour



Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej

Azja Centralna, pod którą to nazwą rozumiemy tutaj pięć byłych republik Związku Radzieckiego, jest wdzięcznym obszarem badań. Kraje takie jak Kazachstan, Kirgistan, Uzbekistan, Tadżykistan, czy Turkmenistan pod pewnym, ważkim dla nas względem, zestawień można w jednym szeregu z takimi krajami jak, na przykład, Indie, Mali, Angola lub, dajmy na to, Indonezja. Co je łączy? Otóż każdy z nich istnieje dzięki charakterystycznemu dla drugiej połowy XX wieku zjawisku, które określamy mianem dekolonizacji. Każde z tych państw powstało, gdy mocarstwo kolonialne, którego było częścią, z różnych przyczyn zaprzestało sprawowania nad nim swej władzy, tym samym darując mu niepodległość.

Obszary, wcześniej posiadające zaledwie status odległej od stolicy kolonii, nagle okazały się być niezależne. Ich centrum, ich naczelny punkt odniesienia z dnia na dzień znalazł się na ich własnym terytorium. Odtąd musiały „same siebie stanowić”. Radość z wyzwolenia szybko przesłoniła nagość dnia powszedniego. Wczoraj byliśmy częścią Wielkiej Brytanii, Francji, a dzisiaj...? Kim jesteśmy dzisiaj?

Pytanie to było motywem przewodnim również naszej wyprawy. Jak można bowiem sądzić, ostatni akt XX-wiecznej dekolonizacji dokonał się na początku lat 90-tych wraz z rozpadem Związku Radzieckiego. Jednym z postkolonialnych obszarów wyłonił się podczas tego procesu okazują się więc dziś być wspomniane powyżej państwa Azji Centralnej. Obszary te, podbite w starożytności przez Aleksandra Macedońskiego, w średniowieczu będące ośrodkami chanatów, których potęga rosła dzięki przebiegającym

tamtędy trasom Jedwabnego Szlaku, w XIX wieku zostały podbite przez carską Rosję, a po Rewolucji Październikowej stały się częścią Kraju Rad. Dziś stoją przed wyzwaniem samodzielności – ta jednak zapytuje: kim jesteśmy i jakie jest nasze miejsce w otaczającym świecie? Słowem, jest to pytanie o własną tożsamość. Odpowiedź nie jest jeszcze bowiem dana. Mija ledwie siedemnasty rok, od kiedy jej konieczność stała się faktem. Rodzi się ona w konfrontacji z własną historią: tą bliższą – radziecką, oraz tą dalszą – historią Tamerlana, Buchary, pasterskich nomadów. Choć ta historia była często

wspólna, dziś każde z owych pięciu państw stanęło przed własnym dylematem.

Udało nam się dotrzeć do czterech spośród tych krajów: Uzbekistanu, Tadżykistanu, Kirgistanu oraz Kazachstanu. Piąty – Turkmenistan jest dziś areną neo-stalinowskich praktyk politycznych finansowanych z wydobycia ropy

naftowej i gazu. Polityka owa rzutuje także na kwestię wydawania wiz obcokrajowcom. Nie można wjechać do Turkmenistanu w charakterze „turysty” nie opłacając uprzednio miejscowego „przewodnika”, który będzie towarzyszyć podczas całej podróży po kraju. Takie wymagania kazały nam zrezygnować z wizyty w tym zapewne arcyciekawym miejscu. Spojrzenie na złotą posturę Saparmurada Nijazowa obracającego się twarzą do słońca wraz z ruchem naszej planety odłożyliśmy do czasu najbliższej „odwilży”. Oby tylko zapal przyszłych „wywrotowców” nie zaczął się, a co gorsza – nie wyczerpał, na obalaniu pomników...

Fakt, że na kluczowe pytanie dotyczące tożsamości każde z państw musi odpowiedzieć samodzielnie, jest także



Registan. Samarkanda, Uzbekistan
fot. M. Milczarek

Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej

pewną wskazówką dla nas. Wymaga ona, by o każdym z krajów napisać osobno. Tak też uczynimy, choć nie o każdym z nich napiszemy tyle samo. Najślabiej znanym w Polsce i zarazem najlepiej poznanym przez nas okazał się Tadżykistan – o nim więc będzie najobszerniej.

Uzbekistan

Pierwszym państwem na naszej drodze był Uzbekistan. Przylecieliśmy tam łątowskimi liniami z Rygi – można by rzec: z jednej części imperium kolonialnego do drugiej... Podczas gdy jednak Łotwa od 2004 roku jest krajem



Shah-i-Zinda. Samarkanda, Uzbekistan
fot. M. Milczarek

członkowskim Unii Europejskiej, Uzbekistan nazywany jest czasem „satrapią zarządzaną przez jednego człowieka”. I istotnie, ciężka ręka władzy nie daje zapomnieć o swojej obecności...

Weźmy pod lupę chociażby podróż. Podróż drogami Uzbekistanu to ciągłe kontrole pojazdów. Punkty kontrolne rozmieszczone są regularnie co jakieś pięćdziesiąt kilometrów, a także na wjazdach lub wyjazdach z miast. Już z daleka widać budki, barierki i milicjantów w zielonych mundurach lubieźnie wymachujących pałkami. Wszyscy są do

cna skorumpowani. Mający pecha są zatrzymywani na dłużej – na tak długo, aż dogadają się co do wysokości łapówki. Dziesięć dolarów to już poważna kwota. Normalnie, bez zatrzymywania się, daje się milicjantowi do ręki złożony w kwadracik banknot o wartości pół lub jednego dolara. Kierowcy busów, a więc jeżdżący na co dzień, na wszelki wypadek kłaniają się jeszcze lub pozdrawiają milicjantów ręką. Daje się więc „papierek” i można jechać dalej – aż do następnego punktu kontrolnego. Chyba, że wcześniej dostanie się „mandat” na przykład za przekroczenie prędkości – wtedy trzeba dać w łapę ze 3 dolary. Podobnie jest przy wejściu do metra w Taszkencie (które, tak na marginesie, swoim wspaniałym wystrojem często-kroć przebija nawet moskiewskie!). I tam, na każdej stacji stoją milicjanci wyczekujący swoich ofiar. Lecz, jak mówią miejscowi, kto w Uzbekistanie ma swój „biznes” i pieniądze, ten jest prawdziwym królem. Wszystkie bramy się przed nim otwierają – może kupić wszystko i wszystkich.

A czym jeździ ów nękany przez milicję przeciętny Uzbek? Jeżeli nie starą łądą bądź wołą, to niemal wyłącznie produkowanymi na miejscu samochodami marki Daewoo. Za wszelkie zagraniczne trzeba bowiem zapłacić cło w wysokości 100% ceny. Jeden samochód kosztuje w Uzbekistanie tyle, co dwa. Takim samochodem jeździ tylko król.

Inna ciekawa osobliwość: proces wymiany walut – oficjalnie możliwy tylko w bankach – może trwać około piętnastu minut. Pracownicy banku wypisują stos papierów. Prawdziwa niespodzianka czeka jednak, gdy do ręki dostaje się w końcu miejscową walutę – sumy. Wymieniając dwieście euro otrzymuje się okazały stos banknotów. Jeżeli położyć je przy butelce piwa – będą sięgały prawie do szyjki... Najwyższy nominał wart jest bowiem około dolara. Zamiast do portfela, wkłada się to wszystko do reklamówki i z nią chodzi na zakupy. A dlaczego nie ma większych

Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej

nominałów? – „A czort ich znajet... To u was wszystko wiadomo, u was jest demokracja. U nas nikt nic nie wie...” – oto odpowiedź absolwenta prawa na Uniwersytecie w Taszkencie, zarabiającego na życie za kierownicą.

Spacerując po reprezentacyjnej rządowej dzielnicy Taszkientu można jednak odnieść wrażenie, iż Uzbekistan to kraina szczęśliwa. Kobiety w roboczych drelichach mimo 35-stopniowego upału pielą wokół trawników, z ogromnych fontann tryskają potoki wody, a mamy kąpią w nich dzieci. Zaraz za ministerstwem finansów ulokowanym w nowym wieżowcu, znajduje się pomnik ku chwale Uzbekistanu: na szczycie postumentu kula ziemiska, a na niej nabrzmiały i wielki Uzbekistan. Pod pomnikiem siedzi matka troskliwie trzymając na rękach dziecko – cały naród. Tylko do ogromnego, niczym piętnaście belwederek, pałacu prezydenckiego, skąd niezbyt miłostwie panuje Islam Karimow, nie wolno się zbliżyć. Znowu barierki i milicja. Prezydentowi nie można się jednak dziwić. Po tym jak w 2005 roku wojsko otworzyło ogień do demonstrantów w mieście Andiżan zabijając co najmniej kilkaset osób, pan prezydent słusznie może obawiać się zemsty. Strzeżonego Allah strzeże.

Aczkolwiek mowa o obecności Allaha we wprowadzie tradycyjnie muzułmańskim Uzbekistanie to pewna przesada. Zachowało się tam bardzo wiele budowli pamiętających czasy przebiegającego tamtędy z Chin na Bliski Wschód i do Europy Jedwabnego Szlaku. Samarkanda, Buchar, a zapewne także Chiwa, w której nie byliśmy, olśniewają swoimi medresami, meczetami, mauzoleami. Zamykam oczy i wciąż widzę błękit: błękit kopuł, łuków, ceramiki na

ścianach. Lecz kiedy zachodziło słońce, muezini nie wzywali do modlitwy, jak dzieje się to w innych muzułmańskich krajach. Minarety Uzbekistanu milczą. Prezydent obawia się bowiem również muzułmanów i od czasu zamachów bombowych w Taszkencie w 1999 roku, muezini zostali zmuszeni do zaprzestania wołań na modlitwę. Zresztą nawet gdy wzywali, nie było widać większej różnicy – wierzący i praktykujący w Uzbekistanie stanowią zaledwie 5-10% społeczeństwa, ale to już żniwo przymusowej ateizacji czasów ZSRR. Dostojne meczety świecą pustkami. Choć są i wyjątki w drugą stronę – „W grudniu zeszłego roku przeczytałem książkę *Po śmierci* perskiego filozofa Al-Ghazalego i mnie olśniło. Jak mogłem żyć ponad trzydzieści lat bez islamu?” – ponownie nasz wykształcony kierowca.



Twierdza Yamchun.
W tle afgański Hindukusz. Dolina Wakhan
fot. M. Milczarek

Zapominając jednak o polityce, okazujemy się być w kraju obdarowanym przez historię wyjątkowo sennie. Z pól porośniętych bawełną, z pustyń i suchych wzgórz wyrastają olśniewające miasta. Darem historii jest piękna architektura Samarkandy, Buchar i Chiwy. Można długimi godzinami i dniami wałęsać się po zakamarkach ich wąskich uliczek, podziwiać misternie utkane dywany, przesiadywać w cieniu błękitnych medres, gubić się pośród egzotycznych bazarów. A dzień zakończyć wielkim arbuzem sprzedawanym tam za grosze.

Tadżykistan

Tadżykistan powitał nas nieco innymi obyczajami. Podczas gdy na uzbeckiej granicy lepiej było zachować przezorną powagę, tadżycki wopista

Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej



Druzja iz Duszanbe. W tle afgański Hindukusz. Dolina Wakhan, Górskobadachszański AO Tadżykistan, fot. M. Milczarek

przywitał nas uściskiem rąk, ogłosił, że tak w ogóle, to „Tadżykistan jest milion razy lepszy od Uzbekistanu...”, kazał usiąść pod drzewem w cieniu i zabrał paszporty do podbicia. Tadżykistan był też jedynym krajem, który do otrzymania wizy nie wymagał zaproszenia.

Już na samym początku w oczy rzuciły się dwie charakterystyczne rzeczy. Po pierwsze, indoeuropejskie rysy twarzy, w których mogliśmy rozpoznać swoje własne. Tadżykistan jest bowiem indoeuropejską wyspą pośród środkowoazjatyckiego morza ludów turkijskich. Język Tadżyków należący do rodziny języków irańskich podobny jest do tego, którym posługuje się ludność Iranu lub Afganistanu. Podobnie jest także z urodą: u mieszkańców reszty krajów jest ona zawieszona pomiędzy „Chinami a Europą” – proporcje są różne. Po drugie, wyrastające na horyzoncie góry, którymi pokryty jest właściwie cały kraj. Ich kulminacją jest pasmo gór Pamiru zajmujące połowę kraju – cały Górskobadachszański Okręg Autonomiczny. Najwyższy szczyt – dawniej Pik Kommunizma, dziś, na cześć założyciela perskiej dynastii Samanidów, Pik Ismail Samani, sięga 7495 metrów.

Droga do stolicy – Duszanbe zapada w pamięć na zawsze. Wiedzie pośród suchych gór, urwisk i przepaści.

Gdzieś na wysokości około trzech tysięcy metrów znajduje się długi na pięć kilometrów, niedawno otwarty tunel, dzięki któremu nie trzeba się już wspinać wyżej na przełęcz. Budowali go Irańczycy i niestety natrafili przypadkiem na żyłę wodną, z którą nie potrafili sobie poradzić. Nieoświetlonym tunelem płynie w dół istny potok. Rozbryzgując wodę na boki ciągną nim powoli wyładowane kamazy i stare wołgi. Niekiedy komuś zalewa się silnik, ktoś go musi holować... Przejazd doprawdy przypomina film fantastyczny o „końcu czasów”.

Duszanbe, stolica tego najbiedniejszego ponoć spośród byłych republik radzieckich państwa, nie oferuje wielu atrakcji. Główna ulica to zacienione wielkimi drzewami długie i monotonne pasmo stalinowskiej architektury. Prócz tego można odwiedzić jeszcze meczet Haji Yakouba, który po zabytkach Uzbekistanu nie robi już wielkiego wrażenia.

Mając w paszportach białe stosowne pozwolenia mogliśmy się udać do Górskobadachszańskiego Okręgu Autonomicznego. Poszczęściło się nam i zdobyliśmy bilety na samolot. Była to malutka, napędzana silnikami śmigłowymi maszyna An-28, którą lot proponować można tylko odważnym. Maksymalny pułap, który osiąga ten samolot nie jest zbyt wysoki, a na pewno niższy niż pokryte śniegiem szczyty, pośród których się przelatuje. Piloci korzystają więc z przełęczy i w ten sposób omijają góry. Lecz te w Pamirze również nie należą do najniższych położonych, wobec czego samolot niekiedy przelatuje ledwie kilkanaście metrów (!) nad taką przełęczą... Jednak widoki – tak na Tadżykistan, jak i na Afganistan, nad terytorium którego samolot częściowo przelatuje – są olśniewające.

Badachschan to miejsce odmienne od reszty kraju. Miejscowa ludność – Pamirczycy – mówi językami pamirskim, podobnymi do narzeczy z pobliskiego Afganistanu. Ich uroda jest za to wybitnie indoeuropejska, nieprzemieszana z mongoidalnymi rysami Uzbeków lub zwłaszcza Kirgizów. Zdarzają się nawet

Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej

niebieskie oczy, co w sercu Azji zakrawa na cud. Zapewne wpływ na to wszystko miało wielowiekowe odizolowanie za trudnodostępnymi górami.

Inna jest również religia Pamirczyków. Są oni wyznawcami ismailizmu, nurtu wyłonięnego z szyckiego islamu w VIII wieku w Persji. Reszta Azji Centralnej jest tymczasem sunnicka. Ismailici, których obecnie na świecie naliczyć można około 20 milionów, mają swojego przywódcę religijnego, nazywanego Aga Chan (obecny Aga Chan jest 49 z kolei); czczą go podobnie jak katolicy papieża. Jest to liberalny nurt islamu pozwalający na dość swobodną interpretację Koranu i nauk lidera, dowartościowujący pozycję kobiet i obchodzący się bez duchowieństwa.

W związku z tym w Pamirze nie ma również meczetów, a miejscem modlitwy może być zwykły dom. Jedynymi obiektami sakralnymi są kamienne kopce z wetkniętymi w nie baraniami rogami – pozostałościami dawnych wierzeń. Sam Aga Chan jest bardzo szanowany w Badachszanie. Wszędzie pełno jego portretów, a mieszkańcy jednogłośnie chwalą jego charytatywną działalność – przekazywał on bowiem pieniądze na różne inwestycje w Pamirze, a w czasie trwającej w latach 90-tych ubiegłego wieku wojny domowej w Tadżykistanie ratował region przez katastrofą wysyłając pomoc humanitarną.

W Badachszanie odwiedziliśmy jego stolicę Chorog, dzieloną z Afganistanem, nieprawdopodobnie piękną dolinę Wakhan, a także położoną blisko Chin oraz Kirgizji miejscowość Murgab, dokąd dojechaliśmy słynnym, wybudowanym w latach 30-tych Traktem Pamirskim.

Dolina Wakhan to miejsce niezwykle. Rozciąga się ona z zachodu na wschód, a jej środek żłobi graniczna

rzeka Piandż, z której następnie rodzi się bardziej znana Amu-Daria. Na drugim brzegu tego niekiedy zwężającego się do zaledwie kilku metrów potoku leży już terytorium Afganistanu. Doskonale widoczne są afgańskie kiszlaki (czyli wsie) z domami zbudowanymi z gliny i błota, widać wiszącą nad urwiskiem drogę wybudowaną siłą ludzkich rąk oraz samych Afgańczyków w szerokich spodniach, przemierzających się pieszo lub dosiadających osły.

Aż do końca XIX wieku tereny te stanowiły jedność. Jak opowiadali nam mieszkańcy, wyprawiano się na drugi brzeg po żony i w ogóle kontakty między spowinowaconymi narodami

były bardzo żywe. Wraz z XIX wiekiem na tereny te wkroczyła jednak wielka polityka. Od północy napierali Rosjanie, od południa, z pobliskiego Pakistanu, czyli fragmentu dawnych Indii, Wielka Brytania. Pamir zaroił się od

szpiegów, zwiadowców, podróżników. Szala przechylała się raz na jedną, raz na drugą stronę, aż w końcu, w 1896 roku dwa wielkie imperia pogodzone traktatem. Pamir przypadł carskiej Rosji, a pomiędzy nią a brytyjskim Pakistanem utworzono wąską na jakieś 20 kilometrów strefę buforową (tzw. Korytarz Wakhański), oddając ją emirowi Afganistanu. Granice te właściwie nie zmieniły się aż do naszych dni. Na dobre zamknęli je jednak dopiero sowieci i odtąd Badachszan jako obszar o nader newralgicznym położeniu stał się oczkiem w głowie Moskwy. Był finansowany bezpośrednio ze stolicy ZSRR, a o mieszkańców bardzo dbano, pragnąc stworzyć z nich powodowanych



Miss Murgab. W tle Pamir. Murgab, Tadżykistan
fot. M. Milczarek

Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej

patriotyzmem obrońców obecności radzieckiej na tych dalekich ziemiach. Trzeba przyznać, że polityka ta odniosła sukcesy: większość nadal ciepło i z nostalgią wypowiada się o czasach *Sojuza*. Było skromnie, lecz każdy miał pracę i pieniądze „na chleb”. Kontrastowane są także oba brzegi rzeki Piandż: po tadżyckiej stronie wylano asfalt, poprowadzono linie elektryczne, wybudowano szkołę i szpital. Po afgańskiej natomiast trudno się doszukać którejkolwiek z tych rzeczy. Widzieliśmy jedynie szkołę, postawioną jednak za pieniądze z funduszy Aga Chana. Lecz i w tadżyckim Badachschanie dziś dobrze żyje się tylko tym, którzy zajęli się własnym biznesem, czasem także przemytem narkotyków, gdyż właśnie tamtędy są



Jedwabny szlak naszych czasów.
Między Sary-Tash a Osz, Kirgizja,
fot. M. Milczarek

one przerzucane z Afganistanu.

Aczkolwiek pierwsze wieści o tych stronach są znacznie starsze. Wspomnianą Dolinę Wakhan, w której można znaleźć pozostałości średniowiecznych twierdz, w XIII wieku przechodził Weneccjanin imieniem Marco Polo i pozostawił o nich relacje w swoim *Opisaniu świata*.

Trzeba także napisać kilka słów o charakterze mieszkańców tych stron. Są to bowiem ludzie wspaniali – niezwykle serdeczni, przyjaźni i gościnni. W Dolinie Wakhan, swoistym „końcu świata”, nocowaliśmy w tradycyjnym pamirskim domu w małym kizylaku położonym na wysokości około 3000

metrów. Nie było w nim wydzielonych pokoi, siedziało się i spało na dywanach i matach, a na suficie znajdowało się charakterystyczne okno połaciowe. Zostaliśmy tam wspaniale ugoszczeni przez gospodarza, dosłownie „czym chata bogata”. Podobne zaproszenia powtarzały się zresztą jeszcze kilka razy – zawsze zupełnie bezinteresownie.

Nocą wiał wiatr, a na szczyty wyrastającego na przeciwko afgańskiego Hindukuszu poproszył nawet świeży śnieg. Rankiem jednak niebo było czyste jak lza. Sięgające siedmiu tysięcy metrów szczyty po drugiej stronie Doliny Wakhan sprawiały wrażenie nierzeczywistych. Ich dramatyczny majestat zapierał dech w piersi. Za nimi zaczynał się już inny świat. Po ich drugiej stronie potoki spływały ku równinom Pakistanu, by następnie wraz z nurtem starożytnego Indusu dosięgnąć Oceanu Indyjskiego.

Pamir, podobnie jak Tybet, określa się mianem „dachu świata”. Być może do niego określenie to pasuje nawet bardziej niż do Tybetu, gdyż stanowi on swoisty geologiczny węzeł, z którego biorą początek wszystkie najwyższe pasma górskie kuli ziemskiej. W stronę zachodu wyłania się z niego ostra linia wspomnianego Hindukuszu, na północ wysuwa się pasmo Tien-szan, a na wschodzie wyrasta ogromna połącz Karakorum, przechodząca następnie w pasmo Himalajów.

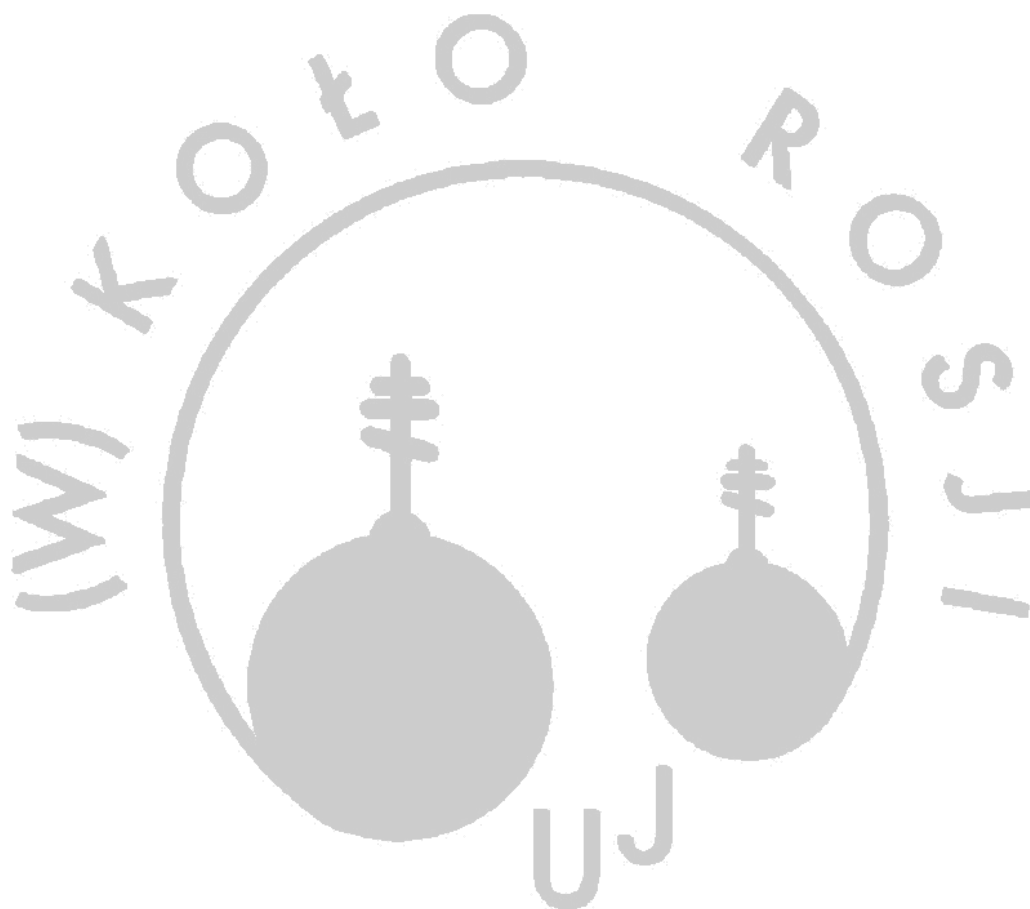
Powierzchnią owego „dachu” przebiega wspomniany już również Pamirski Trakt. Droga wspina się na płaskowyż położony 4000 metrów nad poziomem morza, kulminując przełęczą Ak-Baytal, sięgającą 4655 metrów. Cały ten obszar to niemal bezludna pustynia z wybrzuszeniami relatywnie niskich, pokrytych często śniegiem szczytów i słonymi jeziorami. Imć Marco pisał w *Opisaniu świata*: „Dwanaście dni wiedzie droga przez tę wyżynę zwaną Pamir. Nie ma tam po drodze przez ten cały czas ani osiedli, ani gospód, lecz podróżni muszą

Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej

żywność zabierać z sobą. Z powodu wysokości i zimna nie dojrzeć tam żadnego ptaka lecącego. I powiadam wam, że nawet ogień w tym wielkim chłódzie nie jest ani tak jasny, ani tej barwy co gdzie indziej, i potrawy nie gotują się tak dobrze". Oczywiście przyczyną był w rzeczywistości nie „chłód”, lecz niedostatek tlenu. Im jednak bliżej miejscowości Murgab i granicy z Kirgizją, tym więcej widzieliśmy zamieszkujących w jurtach kirgizkich pasterzy, wypasających swoje stada owiec oraz jaków. Samo natomiast Murgab, rozsypujące się osiedle, mające kilka tysięcy mieszkańców, położone na wysokości 3600 metrów nie wydaje się być częścią Ziemi. Otoczone księżycowym raczej krajobrazem białych szczytów i pustyni

przypomina sen surrealisty. Szczególnie nocą, kiedy zapada zmrok, a gwiazdy wraz z Drogą Mleczną świecą jaśniej niż kiedykolwiek. Mieszkaniec Murgab musi się wtedy czuć bliżej spokrewniony raczej z resztą galaktyki niż Ziemi. Nieprzypadkowo niektórzy badacze tłumaczą nazwę „Pamir” jako „podnózek słońca”. Do nieba istotnie nie jest stamtąd daleko.

CZYTAJ WIĘCEJ NA STRONIE 25



Jedziemy na wycieczkę, czyli subiektywne wrażenia z pobytu na Białorusi

Na początku był natłok myśli. Kiedy pojawiła się propozycja wyjazdu na Białoruś i spędzenia tam majowego weekendu A.D. 2008, miałam naprawdę ciężki orzech do zgryzienia. Z jednej strony odezwała się leniwa część mojej osobowości, która kategorycznie stwierdziła, że nie ma mowy o jakimkolwiek wyjeździe, bo przecież trzeba wykorzystać wolne od zajęć dni na twórcze nicnierobienie. Z drugiej jednak strony byłam wtedy dumną studentką trzeciego roku Kultury Rosji i Narodów Sąsiednich, której do tej pory na wschód od naszych granic państwowych jeszcze nie widzieli. Wstyd to i hańba. Zwyciężyła więc duma i żądza przygód. Decyzja została podjęta – jadę na Białoruś :)

Po okresie wielkiej euforii pod tytułem: „jadę na Białoruś, jupi, jupi!” przyszło uspokojenie i przejście nad tym faktem do porządku dziennego. Zresztą zostało jeszcze mnóstwo czasu do wyjazdu, więc czym tu się przejmować i stresować. Obiecałam sobie tylko jedną rzecz – tym razem mądrze przygotowuję się do całej wyprawy, czytaj: zawczasu zaplanuję, co ze sobą zabiorę, aby niczego mi nie brakowało. Miałam nawet przygotowaną specjalną karteczkę, którą chciałam wykorzystać przy tworzeniu listy Absolutnie Potrzebnych Rzeczy.

Tak mijał dzień za dniem, termin podróży zbliżał się nieubłaganie, a listy jak nie było, tak nie było. Tłumaczyłam sobie, że przecież jestem Bardzo Zajętą Osobą i skoro w tym momencie nie mogę usiąść i spokojnie pomyśleć, to przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebym nie mogła tego zrobić „jutro z samego rana” :)

29 kwietnia okazało się jednak, że to już jutro jest dzień wyjazdu, a ja ciągle jestem w proszku. Późnym wieczorem, po powrocie z zajęć rozpoczęłam akcję „Pakowanie”. Szło dosyć sprawnie

i o dziwo już po pół godziny byłam spakowana i gotowa na wyjazd. Nie zastanawiając się zbyt długo nad tym, czy na pewno wszystko mam, czy na pewno nie wzięłam za dużo rzeczy, ani czy na pewno uda mi się plecak podnieść i nie zrobić przy tym uroczego „żółwika”, poszłam spać, jako że następnego dnia czekała mnie dosyć wczesna pobudka.

Na dworzec odprowadzał mnie tato, który koniecznie chciał się upewnić, czy trafię, nie pomyłę pociągu, albo nie zrobię innej dziwnej rzeczy. Nie pomogły tłumaczenia, że przecież jadę z grupą i na pewno nic mi się nie stanie. Zaletą takiej sytuacji było to, że nie musiałam sama taszczyć rzeczy na dworzec. Plus ten jednak okazał się ostatecznie minusem, ponieważ mój pierwszy kontakt z wyżej wspomnianym plecakiem nastąpił w momencie, kiedy wszyscy razem ruszyliśmy w kierunku peronu, gdzie miał znajdować się nasz pociąg. Kontakt ten był szokiem, gdyż zreflektowałam się, że mój plecak jest niesamowicie ciężki. Nie miałam wcześniej pojęcia, że dosłownie kilka najpotrzebniejszych rzeczy może tyle ważyć. Ale nic to, na rozpacz było już za późno, trzeba było zacisnąć zęby i razem z całą karawaną ruszyć przed siebie.

Punktualnie o 6.10 pociąg ruszył i tym samym rozpoczęła się nasza podróż. Już popołudniu byliśmy w Terespolu, gdzie przyszło nam spędzić trochę czasu w oczekiwaniu na kolejną relacji Terespol-Brześć. Tam miała odbyć się kontrola paszportowa, na którą wszyscy oczekiwali z niecierpliwością i lekkim strachem w oczach. Mnie osobiście niesamowicie straszono białoruskimi celnikami, którzy mieli być niemili i bardzo skrupulatni w sprawdzaniu dokumentów. A nie daj Boże, jeśli coś by się nie zgadzało. Strach się bać.

Jedziemy na wycieczkę, czyli subiektywne wrażenia z pobytu na Białorusi

Wszystko jednak skończyło się pomyślnie i tym samym zawitaliśmy na Białoruś.

Prosto z kolejki udaliśmy się na dworzec w Brześciu. Chociaż słowo „udaliśmy się” nie jest w tym miejscu najbardziej trafne. Tak naprawdę ruszyliśmy tam pędem, gdyż za chwilę miał odjeżdżać nasz pociąg do Mińska. Nie mam pojęcia, jak udało mi się dobiec i nie wyzionąć ducha, zważywszy na spory balast na moich plecach. Chyba po prostu sama nie zdawałam sobie sprawy z moich możliwości, które dały na szczęście o sobie znać w tej lekko stresującej sytuacji.

Pociąg relacji Brześć-Mińsk okazał się niesamowicie wygodny – nam (czyli obu Olom i mnie) przypadł trzyosobowy przedział, więc elegancko :) Można było spokojnie odpocząć po trudach dotychczasowej podróży, a nawet wysłać wiadomość do stęsknionej rodziny, że już jesteśmy za granicą, żyjemy i jest nam dobrze.

Do Mińska przybyliśmy około północy i z dworca odebrali nas nasi opiekunowie, czyli pani Walentyna i młodzież jednego z mińskich liceów, w którym mieliśmy się zatrzymać na czas całego pobytu w stolicy. Najpierw nastąpiło szybkie powitanie, później równie szybka wymiana pieniędzy na białoruskie ruble, a na końcu błyskawiczna podróż do liceum na nocleg. W końcu trzeba było odpocząć choć odrobinę przed następnym dniem, poświęconym na intensywne zwiedzanie.

Mińsk okazał się być wyjątkowo „potężnym” miastem. Szczerze mówiąc

wyobrażałam go sobie troszkę inaczej. Być może to wpływ stereotypów, ale wydawało mi się, że na miejscu zastaniemy typowo „sowieckie” miasto, szare, smutne i posępne. A tu szerokie (na wypadek, gdyby ulicami miejskimi miały jechać czołgi, prospekty są odpowiednio dopasowane do gabarytów tanków), jasne i czyste ulice, mnóstwo ludzi spieszących we wszystkie możliwe strony, a po zmroku tłumy młodzieży bez skrępowania opróżniające butelki z piwem. Szczególny urok miał Mińsk

późnym wieczorem, kiedy zapalały się miliony światełek. Nic dziwnego – miasto szykowało się do hucznych obchodów najpierw Święta Pracy, a później Dnia Zwycięstwa.

My, jako zwarta grupa zapalonych wycieczkowiczów, wzbudzaliśmy żywe zainteresowanie przechodniów. Może

ich uwagę przykuwał język polski, albo fakt, że byliśmy oprowadzani głównie po białorusku? Prawdą jest, że mińska ulica mówi w większości po rosyjsku, choć w niektórych miejscach można było spotkać się z plakatami reklamowymi napisanymi w języku białoruskim.

Największe wrażenie podczas całego pobytu wywarła na mnie wizyta w monastyrze św. Eufrozyny Połockiej. Ta cisza, obecna na jego terenie, opowieści o życiu świętej i ciepłe przyjęcie całej naszej grupy było czymś niezapomnianym.

Jednym z ważniejszych punktów naszego pobytu na Białorusi była białorusko-polska konferencja naukowa, poświęcona zagadnieniom literatury, podczas której można było wysłuchać interesujących referatów i obejrzeć



Skupienie w oczekiwaniu na kontrolę paszportów, fot. A. Król

Jedziemy na wycieczkę, czyli subiektywne wrażenia z pobytu na Białorusi



Ja i Ola Błaszczak na zamku w Mirze,
fot. A.Król

w stolicy Białorusi była wizyta w teatrze i obejrzenie spektaklu w języku białoruskim pod tytułem *Czarna panna* z *Nieświeża* o historii nieszczęśliwej miłości Barbary Radziwiłówny i Zygmunta Augusta. Nota bene wspomniany Nieśwież również był przez nas odwiedzony. Przy wejściu na teren zamku nie udało się nam niestety przekonać pani w kasie, że jesteśmy Białorusinami i trzeba było zapłacić normalną stawkę dla zagranicznych turystów. Przypuszczam, że podejrzanym wydał jej się fakt, że stoimy bardzo spokojnie, a odzywamy się do siebie jedynie szeptem :)

Po obejrzeniu spektaklu ruszyliśmy zwartą kolumną na dworzec, żeby złapać pociąg do Grodna. Tuż przed odjazdem nastąpiły serdeczne pożegnania z naszymi białoruskimi opiekunami i podziękowania za okazaną dobroć, z nadzieją na kolejne spotkanie, być może tym razem w Polsce. Pociąg ruszył, a przed nami jawiła się perspektywa całonocnej jazdy do Grodna. Miałam pewne obawy przed tą podróżą. Przede wszystkim, zważywszy na to, że nie podróżuję zbyt często pociągami, obawiałam się, że zwyczajnie nie uda mi się usnąć. Kiedy jednak okazało się, że dostało mi się miejsce na górnej półce, pomyślałam sobie w duchu, że to może i lepiej, że nie usnę, bo, nie daj Boże, we śnie zacznę się wiercić i obudzę się

gdzieś na dole, między stolikiem a drzwiami. O dziwo usnęłam jednak i obudził mnie dopiero donośny (czytaj: bardzo donośny) głos obwieszczający, że należy już w zasadzie wstawać, bo niedługo dojeżdżamy do Grodna. Potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie: szybka toaleta, szybkie zebranie rzeczy, szybkie włożenie plecaka (nadal okropnie ciężkiego) i szybkie wyjście z pociągu na dworzec w Grodnie. W poczekalni udało nam się wygospodarować czas na śniadanie, zaraz po nim wyruszyliśmy na miasto.

W zasadzie cały dzień spędzony w Grodnie minął jak z bicza trzasa. Oczywiście z przyczyn czasowych nie udało nam się zobaczyć wszystkiego. W pamięć zapadł przede wszystkim dworek Elizy Orzeszkowej wraz z historią o tym, jak mieszkańcy Grodna wyłożyli brukowaną ulicę przed jej oknami słomą, aby stukot dorożek nie mącił jej ciszy, kiedy była chora, i wizyta w domu handlowym „Niemen” – to już z przyczyn czysto praktycznych, czytaj: zaspokojenie głodu i ostatnie zakupy przed powrotem do Polski. Nigdy nie zapomnę też pobytu w jednej z grodzieńskich restauracji, gdzie za ostatnie pieniądze zamówiliśmy z dziewczynami placki ziemniaczane z surówką. Przyznaję z łapką na sercu, że jeszcze nigdy z takim utęsknieniem nie czekałam na jedzenie. Również nigdy nie zdarzyło mi się w takim tempie zjeść jakiegokolwiek posiłku.

Zaraz przed godziną 19 znaleźliśmy się z powrotem na dworcu i z bagażami oczekiwaliśmy na odprawę celną. Lekki strach był, bo każdy z nas miał w swoim bagażu trochę więcej raczej wysokoprocentowych napojów, niż jest to dozwolone. Na szczęście dla nas, kontrola była zdecydowanie pobieżna :)

Z Grodna pociąg zawiózł nas do Sokółki, a stamtąd już bez przesiadek do Krakowa. Na początku podróż zaczęliśmy z nudów czytać horoskop

Jedziemy na wycieczkę, czyli subiektywne wrażenia z pobytu na Białorusi

w rosyjskim czasopiśmie, kupionym w Mińsku i rozwiązywać test pod wiele mówiącym tytułem „Czy jesteś namiętą kobietą?”. Oczywiście na końcu wyszło, że wszystkie takie jesteśmy, a mężczyźni tylko dla jednego naszego spojrzenia gotowi są na wszystko. Proszę, czego to można się dowiedzieć :)

Reszta podróży minęła raczej leniwie i sennie. Dziewczyny głównie spały, podczas gdy ja usilnie próbowałam choć na chwilę usnąć. Niestety za każdym razem, gdy pociąg gwałtowniej hamował, ruszał, bądź kołysał, budziłam się przerażona. Te kołysania wagonu przyprawiały mnie o stan przedzawałowy także z powodu mojego plecaka, który, co prawda, leżał sobie grzecznie na półce, ale miałam niejasne wrażenie, że utrzymuje się na niej dosłownie „na słowo honoru” i w każdej chwili może runąć w dół, miażdżąc wszystko, co napotka na swojej drodze, czyli przede wszystkim moją skromną osobę.

Do Krakowa przyjechaliśmy zaraz po 8 rano. Z racji tego, że wszyscy byliśmy padnięci, nastąpiło szybkie pożegnanie, po czym każdy ruszył w swoją stronę. Kiedy już dojeżdżałam autobusem do mojej ukochanej Huty, zadzwoniła mama z pytaniem, czy nie wyjść po mnie na przystanek. Szybko oceniłam swoje szanse na dojście do domu z moim monstrualnym plecakiem na bardzo nisko, jednak zaparłam się w sobie i powiedziałam, że skoro wytrzymałam na Białorusi, to nie mogę się poddać na ostatniej prostej. Jakim cudem dopiełam do mieszkania? Do dziś jest to dla mnie zagadką. W planach miałam długą kąpiel, krótki odpoczynek i pojawienie się jeszcze tego dnia na zajęciach, żeby pokazać się i udowodnić, że żyję, ale nic z tego nie wyszło. Krótka drzemka zamieniła się, nie wiadomo kiedy, w długi i mocny sen prawie do wieczora.

Teraz powinien nastąpić morał

całej tej historii :) Mogę powiedzieć, że zdecydowanie było warto zagłuszyć w sobie Małego Leniuszka, który nie chce się nigdzie ruszać i pojechać na tę wyprawę. Nie tylko z racji tego, jak ciekawe okazały się miejsca, które odwiedziliśmy (na przykład osiedla mieszkaniowe niedaleko od centrum Mińska, typowe bokowiska, które tak bardzo przypominały mi moją Nową Hutę, że aż poczułam się prawie jak w domu :)), ale przede wszystkim ze względu na ludzi, których tam poznaliśmy, i którzy tak serdecznie się nami zajęli, nie szczędząc swojego wolnego czasu. Białoruś warta odwiedzenia jest. Jednak następnym razem ze zdecydowanie lżejszym plecakiem :)

„Mały Podróżnik” **Ania Kucharska**
KRiNS, IV rok



W Połocku, fot. A. Król

Wakacje z „biletasem” w ręku

Właściwie zaczęło się prozaicznie... Pewnego dnia, na pewnym wykładzie, który, nota bene, jako bardzo zainteresowana tematem studentka, jeszcze bardziej interesującego kierunku, spędzałam zawsze z nie tą książką co trzeba, pewna pani rzucała jak zwykle grochem o ścianę, gdyż byliśmy grupą wyjątkowo odporną na wiedzę. Lecz pewnego razu, zupełnie przypadkiem, właśnie tam usłyszałam informację o mitycznych węzach żywiących się mlekiem, które za mleko owe ofiarowane przez życzliwych im gospodarzy,

sprowadzają błogosławieństwo na dom cały i jego domowników.

Choć znawcą mitologii bałtyjskiej nie jestem, coś w tym jednak być musiało, skoro właśnie na Litwę udało mi się tego lata pojechać.



Uhm... też Wilno, fot. P. Kwapik

Kiedy w Suwałkach razem z koleżanką wymieniliśmy złotówki na całe 400 litów, poczułyśmy się bogate i wsiadłyśmy w pociąg jadący do Sestokai, skąd doskonale skomunikowany jego brat-bliźniak zawiózł nas prosto do miasta nad Nerisem-Wilią. Choć pani od historii ucząca w pradawnych czasach mojego brata stwierdziła, że „tam to jeno puszcza i niedźwiedź”, mile zaskoczyły nas zadbane dworce kolejowe i urocze małe stacyjki, przy których Warszawa Wschodnia z panią sprząającą a wylewającą sok na płytę peronu (sama widziałam, żeby nie było), była jakąś totalną porażką.

Wilno zachwyciło nas architekturą i świeżym powietrzem oraz życzliwością i chęcią pomocy ze strony mieszkańców. Codziennie paradowałyśmy Giedimino prospektasem, piłyśmy colę za 2,50, ja-

dłyśmy śniadania w centrum „Europa” i usiłowałyśmy zobaczyć miejsce pochówku Barbary Radziwiłłówny w podziemiach Katedry, ale nas nie wpuścili. Nic to, rzekłyśmy, i za czwartym razem, po trzech nieudanych podejściach, z góry Trzech Krzyży ujrzałyśmy panoramę miasta, a także dotarłyśmy na Rossę, dokąd ojcu tego co to wielkim poetą był, kaganek zaniósłszy były oraz Ostrą Bramę, gdzie cudem chyba jest nie spotkać Polaka.

Ulewa, która nas dopadła w okolicach wiaduktu kolejowego, była miernikiem kultury litewskich kierowców. Jedynie co czwarty (liczyłyśmy!) celowo nie wjeżdżał do rynsztoka, żeby nas ochlapać. Zwątpiłam również, gdy zobaczyłam dwóch policjantów przechadzających się ścieżką rowerową...

Usiłowałyśmy również poznać klucz do zrozumienia języka litewskiego, ale że z niczym nam się nie kojarzył, zapamiętałyśmy tylko słowa „alus” (piwo) i „kainas” (cena), co w jakiś tam sposób przekonało nas, że nauka scs-u na studiach w 1% miała jakiś sens. Kolekcję naszą wzbogacałyśmy szukaniem słowa dnia i tym sposobem poszerzyłyśmy słownik o „bankomatas”, „jogurtas” i „Hanza Bankas”. Sam język jednak bynajmniej nas nie śmieszył, ale wręcz porwał swoją ładną melodią.

Idąc śladem wieszczki, którego pomnik na krakowskim Rynku gołębie bezczeszczą z zadziwiającą regularnością, dotarłyśmy do Kowna, gdzie spędziłyśmy miłe chwile nad Niemnem i raczyłyśmy się pysznym chłodnikiem litewskim. Dworca kolejowego jednak nie dane było nam zobaczyć, gdyż był chwilowo w remoncie, a pasażerów

Wakacje z „biletasem” w ręku



Współtowarzyszka podróży z karaïmskim pierożkiem, fot. D. Bożek

18 wysadzano w polu obok budki z napisem „Kaunas 1”. Ta wycieczka nauczyła nas, że przy zakupie biletu pokazuje się wszystkie możliwe dokumenty uprawniające do zniżki studenckiej, choć zniżka owa trudna była do ustalenia i zawsze okazywała się dla nas zaskoczeniem.

Gonione przez czas, jako że nasza wycieczka z przyczyn od nas niezależnych trwała tylko 4 dni, odwiedziłyśmy

Troki, gdzie zrozumieliśmy, co znaczy odbudować zamek w stylu „zrób to sam” (ba, w Wilnie budują od fundamentów) i miałyśmy okazję skosztować kibinów, pysznych karaïmskich pierożków.

Odprowadzane przez dwóch miłych panów (jeden mówił po rosyjsku, a ten drugi, co po litewsku, to nawet niósł walizkę mojej koleżance) na dworzec, pożegnaliśmy Wilno ze łzami w oczach, a wskazując do „Polonusa” przy przystanku z tabliczką „Varšuva” obiecałyśmy sobie, co to to nie, ale my tu jeszcze kiedyś wrócić musimy.

Dagmara Bożek
KRiNS, III rok

Chcesz zaistnieć na łamach *Wschodniego Mirażu*?
Opublikować swoją pracę naukową w *Zeszytach Naukowych*?

Zachęcamy do wysyłania swoich artykułów, felitonów, wierszy na adres:

wschodnimiraz@gmail.com

Prace naukowe prosimy nadsyłać na adres:

zeszytynaukowe@gmail.com

Bliższych informacji dotyczących rodzaju publikacji udziela Regina Kostrzewa (KRiNS, V rok): **e-mail: reginaf@interia.pl**

Wieści ze Wschodu w telegraficznym skrócie



Spotkanie na szczycie

12 października 2008 roku w Stambule odbył się zjazd wszystkich hierarchów kościoła prawosławnego pod przewodnictwem patriarchów: moskiewskiego Alekszeja II i konstantynopolskiego Warfołomieja. Jedynym biskupem prawosławnym nie zaproszonym na tę uroczystość był Fiłariet, raskolnik. Głównym problemem rozważanym podczas tego spotkania było dążenie do wzmocnienia prawosławia w dobie powszechnej laicyzacji świata.

Wielka strata dla wschodnioeuropejskiej kultury

Łotewska gwiazda kina i teatru, odtwórczyni ról takich jak szekspirowskie Julia i Ofelia, Anna Karenina, mająca za sobą występy również w gogolowskich *Martwych duszach* i *Wojnie i pokoju* Tołstoja, Vija Artmane, zmarła w wieku 79 lat w swojej rezydencji położonej 30 km od Rygi, w dniu 12 października 2008 roku.

Centrobank na giełdzie

17 października 2008 roku, w pierwszym czytaniu rosyjska Duma przyjęła ustawę, zezwalającą Centrobankowi wejście na giełdę rosyjską, kupno i sprzedaż jego akcji, wypuszczenie obligacji i innych papierów wartościowych.

Pogromcy Polaków wrócą do łask?

Pomnik Minina i Pożarskiego, przywódców wojsk, które w 1620 roku wypędziły Polaków z Kremla, w 2010 roku wróci na swoje historyczne miejsce w centrum Placu Czerwonego, między mauzoleum Lenina a Uniwersytetem Moskiewskim. Najbliższe dwa lata będą poświęcone na jego gruntowną renowację. Monument ten został usunięty z centrum Moskwy w 1930 roku na polecenie Stalina, aby nie wprowadzać zamętu między "bratnimi" wówczas republikami radzieckimi i polską.

Ariadna Habryń
KRiNS, II rok

Syberyjska chata dziś



Droga, fot. M. Strzyżewski

Wzdłuż szerokiej drogi, wyróżniającej się wśród wszechogarniającego stepu jedynie brakiem trawy, stoją drewniane chaty. Patrząc z niewysokiego pagórka brązowe dachy zlewają się w jedną całość, ciemną, niejedolitą plamę przebitą na wylot wstęgą drogi wiodącej dalej, na północ. Dopiero po zejściu niżej można odróżnić poszczególne domy...

Żeby otworzyć furtkę trzeba pociągnąć w górę sznur wystający z dziury pomiędzy deskami. Obejście nie jest wielkie, po lewej dom, po prawej dwie małe szopy, jedna gościnna, druga na narzędzia. Na środku podwórka stoi wysłużony, niebieski moskwicz 408. Za nim, naprzeciw furtki, stoi płot - oddziela podwórze od niewielkiego pola, którego nikt nie ma siły już uprawiać. Za domem opiera się o ogrodzenie osobny budynek bani, przy nim stos drewna i pień do rąbania, daleko z boku wychodek.

Wszystko od chaty aż po ostatni kawałek płotu wykonane z drewna. Ściany domu zbudowano z kwadratów w przekroju bali. Cały wygląda prosto, wręcz prymitywnie. Jedynie niebieskie, rzeźbione okiennice nadają mu przyjemny dla oka wygląd.

Przy furtce stoi duża blaszana beczka, woda z beczkowozu jest na kartki. Miejscowi wykupują je w wsi obok, tam jest administracja, idzie się godzinę sosnowym lasem.

Chata jest jednoizbowa. Z sienią. Przy wejściu na ścianie suszą się ryby, przysmak do piwa, nieporównywalnie lepsze niż te, które można dostać paczkowane w Moskwie czy Petersburgu. Izba to salon, sypialnia i jadalnia w jednym. Potężny biały piec jest kuchenką i centralnym ogrzewaniem jednocześnie, ale tylko zimą. Latem, żeby nie zagrzać w pomieszczeniu, gospodarz używa pieca na podwórku. Ten jest o wiele mniejszy, płaski, zamiast komina ma dwa wiadra bez denek, włożone jedno w drugie i przymocowane do góry nogami.

W domku gościnnym także stoi piec, od przodu wygląda jak litera L, w dolnej, poziomej części znajduje się głębokie palenisko, od góry zakryte metalową płytą, na której można gotować. Pionowa część kryje komin, ale przede wszystkim jest ogromnym akumulatorem ciepła, który raz nagrany może grzać całą noc, albo raczej mógłby gdyby na zewnątrz nie było minus trzydzieści. Oprócz pieca w chatce gościnnej nie ma już nic. Ledwo można w niej stanąć, ale przynajmniej jest to naprawdę tani nocleg.

Prawdziwa ruska bania w tych stronach nie jest luksusem, jest koniecznością. Piec w łaźni jest blaszany, ma zbiornik na wrzątek i niewielką półeczkę z kamieniami. Wodę z pieca miesza się z wodą z bańki, dokładnie takiej jak na mleko, stojącej przy wyjściu. Dzięki



Bania, fot. M. Strzyżewski

temu da się uzyskać dowolną żadaną temperaturę. Można także wziąć chochlę i chlusnąć na półeczkę z kamieniami - efekt nie jest widowiskowy, ale potrafi zmusić człowieka do końca kąpieli.



Piec, fot. M. Strzyżewski

Jednak nawet Syberia jest częścią „globalnej wioski”, choć jeszcze pół wieku temu w okolicach biegały dzikie konie, dzieci wracające ze szkoły rozpałały ogniska, żeby ochronić się od agresywnych rysi, a cztery godziny marszu na północ zesłani Litwini puszkowali ryby z okolicznego jeziora i wysyłali je na wozach na front. Gospodarz siadywał czasem na ganku, rozpałał

szyszkami w samowarze prababci i wyciągał z kieszeni telefon marki Nokia, żeby dowiedzieć się co słychać u syna, albo siostry. Lubił także obejrzeć wiadomości w telewizji, a przed jedzeniem mył ręce w umywalce zbudowanej z butelki po Coca-coli, przeciętej na pół i przybitej do płotu.

Idziemy dalej, chaty powoli zostawiamy za sobą, droga-ścieżka pnie się w górę i spada w dół, czasem się rozszerza, albo zwęża, ale nie skręca. Bo i po co? Idziemy dalej, na północ...

Marcin Strzyżewski
KRiNS, III rok

Polecamy:

www.rosja.webd.pl – strona internetowa Koła Naukowego
(W) Koło Rosji

wkolorosji@gmail.com – skrzynka internetowa Koła Naukowego
(W) Koło Rosji

www.wkolorosji.fora.pl – forum Koła Naukowego (W) Koło Rosji

www.rkn.uj.edu.pl – strona internetowa Rady Kół Naukowych
Uniwersytetu Jagiellońskiego

Wakacyjna przygoda

Ze swoich krótkich wakacji przywieźli tylko wino gruzińskie i chaczapuri, które musieli szybko zjeść żeby się nie zepsuło. Izie, Bogusi i Michałowi, którzy wymarzyli sobie wyprawę rowerową na Kaukaz, w realizacji planów przeszkodziła... wojna.



Haczapuri z jajkiem i piwo Kazbegi, fot. I. Walczak

Z Izą spotkałam się w jednym z ogródków na Kazimierzu. Music Bar „Debiut” to doskonałe miejsce do takich spotkań, można tam też poznać ciekawych ludzi. Zaczęłyśmy od rzeczy przyjemnych, przypominających Izie wyprawę do Gruzji - wina i chaczapuri, czyli placka z twarożkiem, wyglądającego jak pizza.

- Pomysł z Kaukazem pojawił się nagle. To było takie spontaniczne, bardzo się na to napaliłam. Michał podchodził do tego sceptycznie, mówił, że to daleka podróż i dużo będzie kosztować, ale udało się. W końcu wyruszyliśmy - śmieje się Iza. Planowali dojechać na rowerach do Gruzji, a potem dalej - do Armenii i Azerbejdżanu. Przygoda jednak skończyła się na pierwszym etapie podróży.

A wszystko zaczęło się w Krakowie. Iza i Michał wyruszyli w podróż pociągiem, potem, od Medyki, planowali już jechać na rowerach. Z Bogusią mieli spotkać się w Odessie, skąd kursuje prom do Poti. - Byliśmy uzależnieni od promu. Planowaliśmy wyjechać tydzień wcześniej, ale na promie nie było już

miejsc. To chyba nasze szczęście, bo gdybyśmy pojechali wcześniej, to w momencie wybuchu wojny bylibyśmy gdzieś koło Gori - mówi Iza. - Parę razy musiałam dzwonić na Ukrainę w sprawie promu, bo np. dostawałam SMS-a *dear Iza, please call me*. I wtedy słyszałam, że znów zmienił się termin wypłynięcia. Na dodatek po przyjeździe do Odessy okazało się, że musimy zapłacić więcej za bilet. Zaczęliśmy się nawet zastanawiać czy jechać? Ale po długich dyskusjach stwierdziliśmy, że skoro już dotarliśmy tak daleko, to jedziemy dalej - dodaje.

Promem

Na promie spędzili pięć dni. Mimo morskiej choroby, Iza zniósła podróż dość dobrze. Poznali dwójkę młodych warszawiaków (Monikę i Tomka), z którymi się zaprzyjaźnili i od tej pory trzymali się już razem. Większość pasażerów na statku stanowili Gruzini, którzy wracali z pracy na Ukrainie. Był także ukraiński motocyklista, który wyruszył w podróż dookoła Azji, bo znudziło mu się dotychczasowe życie bankiera. Jechał także Ukrainiec wraz z dziećmi na wakacje do rodziny żony, która mieszka w Gruzji. Wśród turystów przeważali Niemcy i Włosi. Statek okazał się promem towarowym z miejscami hotelowymi - w niczym nie przypominał Titanica czy Statku Miłości. Miał kilka pięter, a na samym dole stały rowery, traktory, wagony pociągu, auta osobowe i TIR-y. Dzień zaczynał się pobudką o 7.40, a o 8.00 było śniadanie. Wszystkie komunikaty podawane były w języku rosyjskim.

Podczas rejsu Gruzini głównie oglądali telewizję, natomiast turyści spoglądali z tarasu na skaczące delfiny. - Wszyscy chcieliśmy sfotografować delfiny. Co chwila ktoś wołał: tutaj, tutaj! Ale niestety, rzadko udawało się je uchwycić na zdjęciu. Stworzyliśmy także multikulturową grupę, która

wspólnie śpiewała piosenki ze swoich krajów – śmieje się Iza.

Dopłynęli

8.08.2008, godzina 12 - końcowy przystanek – Poti. Rozbili namiot na pobliskiej czarnej plaży. Nie była ona zbyt czysta, bo przypyływ naniósł na nią wszystkie śmieci z Turcji. Koło północy, gdy kładli się spać, usłyszeli dwa potężne huki. Wybiegli z namiotów, by zobaczyć co się dzieje. Strzelano w górę z pobliskiego portu. – Stwierdziliśmy, że chyba trwa bombardowanie. Po chwili zrobiło się ciemno. Zgasły wszystkie latarnie. Statki odpływały. Podeszła do nas grupka Gruzynów. Byli pewnie ciekawi co tu robimy. My się ich mocno przestraszyliśmy, bo nie wiedzieliśmy do końca co się dzieje – tłumaczy Iza. Rano się okazało, że ktoś majstrował przy ich jednośladach. Zabrano im klucze i pompki przymocowane do rowerów. Pocięto im także siodełka i namiot. Niektóre rzeczy, jak na przykład bidony, znalazły się parę metrów dalej w lesie.

Co dalej?

To miały być długie i ciekawe wakacje w Gruzji, a okazało się, że nie mają już żadnych narzędzi do rowerów i w razie jakiegokolwiek wypadku sami sobie nie poradzą. W międzyczasie dostawali SMS-y z Polski, że Poti jest bombardowane, żeby skontaktowali się z najbliższą ambasadą i jak najszybciej opuścili Gruzję. Rodzina i znajomi bardzo się o nich martwili, czy nie są ranni. Początkowo było im ciężko skontaktować się z kimkolwiek. Nawet

z ambasadą, bo sieć była przeciążona. – Wszystko było w porządku, choć mogło być znacznie gorzej. Okazało się, że bombardowano też port pasażerski, w którym kilkanaście godzin wcześniej wysiedliśmy. Mieliśmy niebywałe szczęście! Gdybyśmy przyплыли później promem, to nie wiem co by z nami było. Długo się zastanawialiśmy - co dalej robić? W którą stronę jechać? Nie powiem, byliśmy trochę wystraszeni. Z drugiej strony jednak część z nas nie chciała tak szybko kończyć wakacji. W końcu podjęliśmy decyzję - jedziemy do Batumi i tam poszukamy noclegu, a potem skierujemy się do Turcji – mówi Iza.



Na plaży Poti, gdzie nocowali w czasie bombardowania, fot. I. Walczak

W stronę Turcji

W drodze do Batumi poznali Gruzinkę polskiego pochodzenia i jej syna, który od tego roku zaczyna studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. – Okazała się być nauczycielką języka polskiego w Tbilisi, a przyjechała tu nad morze na wakacje. To prawie tak, jak my – śmieje się Iza. Sami Gruzini, których spotykali po drodze, mało przejmowali się wydarzeniami poprzedniej nocy lub wręcz nic o nich nie wiedzieli. Do Batumi dotarli o zmierzchu. Na miejscu poszli do hostelu, w którym czekali już na nich Monika i Tomek. Bardzo ich zdziwiło, że w łazience nie ma zimnej wody. Była tylko gorąca. W tureckiej restauracji poznali gruzińskiego policjanta. W międzyczasie dostali SMS-a z ambasadą, że będzie autokar do Polski. Wiedzieli, że mają pojechać do Trabzonu (miasto w Turcji - przyp. red.). Cały czas nie było do końca wiadomo, jak miała być zorganizowana ewakuacja, ale przynajmniej już się tak nie martwili. Poszli więc pozwiedzać miasto. Niestety o 21 zaczęła się godzina policyjna. Za-

Wakacyjna przygoda

24

mknięto wszystkie sklepy i pogaszono światła. Mimo to dziewczyny postanowiły pójść popływać w morzu. Następnego dnia na granicy gruzińsko-tureckiej spotkali się z całą grupą ewakuowanych Polaków. Dołączyło do nich też paru Estończyków. Autokar zorganizowany przez turecką ambasadę zawiózł całą grupę do Trabzonu, gdzie mieli zapewniony nocleg i posiłek w hotelu. Dopiero następnego dnia miał być lot do Polski. Bez żadnych problemów udało się zapakować rowery do samolotu. Po niemal trzech godzinach wylądowali na wojskowym lotnisku na Okęciu. Nikomu nic się nie stało. Nikt nie był ranny. – To było straszne przeżycie, choć traktowaliśmy je raczej jako przygodę. Z Polski dostawaliśmy informacje, że tu jest okropna wojna. Trochę panikowaliśmy w Poti, ale potem już nie. Mimo wszystko i tak na Kaukaz pojedę jeszcze raz. Uwielbiam podróżować, nie wyobrażam sobie życia bez tego. Jak kocham Kraków, tak muszę podróżować. Po prostu muszę. Muszę zmieniać otoczenie, żeby się nie zanudzić na śmierć – wyjaśnia Iza.

Anna Cygal
Administracja, IV rok



Na promie, fot. I. Walczak

*To już była kolejna wyprawa rowerowa Izy i Michała. O poprzedniej pisaliśmy w jednym z numerów **Wschodniego Mirażu**.*

Iza i Michał to dwójka studentów Geografii na Uniwersytecie Jagiellońskim; rowery są ich drugą miłością.

Chcesz wiedzieć więcej na temat politycznej, ekonomicznej oraz społecznej sytuacji w państwach Europy Środkowej i Europy Wschodniej, na Bałkanach oraz na Kaukazie, a także w Azji Centralnej?

Wejdź na:

www.osw.waw.pl

Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej

Dokończenie ze strony 12



W drodze do Kirgizji. Nasz kierowca i jego wołga, fot. M. Milczarek

Kirgistan

Kirgistan to również przede wszystkim góry – choć niższe niż w Tadżykistanie. Próżno tu szukać suchych pustyń Pamiru – przez to, że wysokość tutaj spada, kraj pokrywają niekończące się zielone łąki. Na tych łąkach, mieszkający w białych jurtach Kirgizi wypasają swoje stada, a przy drodze sprzedają kumys. Wszystko to przypomina Mongolię.

Z początkiem lipca bieżącego roku Polacy udający się do Kirgizji mają obowiązek posiadać wizę. Ponieważ placówki tego kraju nie ma w Polsce, zaplanowaliśmy wyrobić sobie potrzebne dokumenty w Taszkencie. Tam niestety okazało się, że do zwykłej wizy turystycznej wymagane jest również zaproszenie. Trzeba by było oczekiwać na to zbyt długo, więc wyrobiliśmy sobie jedynie pięciodniowe wizy tranzytowe – w następnej kolejności udawaliśmy się bowiem do Kazachstanu. Z tego powodu w Kirgizji nie zobaczyliśmy wiele: jedynie miasto Osz położone na południu, w dzielonej z Uzbekistanem Kotlinie Fergańskiej, oraz jezioro Issyk-kul. W stolicy – Biszkeku byliśmy jedynie przejazdem.

Osz wart jest jednak kilku słów. Choć miasto liczy sobie rzekomo trzy tysiące lat, nie ma tam żadnych zabyt-

ków. Jedyną atrakcją może być pielgrzymka na świętą dla muzułmanów górę zwaną Tronem Salomona. Najciekawszym miejscem w Oszu jest jednak jego bazar – ponoć jeden z największych w całej Azji Centralnej. Wstępując do owej chaotycznie rozlokowanej świątyni handlu doznaje się wrażenia, iż „Jedwabny Szlak” narodził się po raz drugi. Ma on jednak nieco inny charakter, stał się „ponowoczesny”. Podczas gdy dawniej przewożono nim głównie dobra luksusowe, a więc: jedwab, papier lub „przepisy” na proch strzelniczy, dziś wozi się przede wszystkim wszelką tandetę. Blisko Oszu bowiem, na przełęczy Irkesztam znajduje się ruchliwe przejście graniczne łączące Kirgistan z Chinami. Osz jest pierwszym większym miastem na drodze stamtąd i to w nim „zmienia się wielbłądy”, czyli dokonuje pierwszych przeładunków i przy okazji handluje. Na wysokie górskie przełęcze przed miastem powolutku wspinają się masy wyładowanych do granic możliwości ciężarówek. Kamazy i ich chińskie odpowiedniki – niemal wszyscy z przyczepami. Wiozą dresy adidasa, klapki pumy i zegarki za półtora dolara. Co można było podrobić – podrobiono i teraz wysyłamy to spragnionemu konsumentowi w byłych republikach ZSRR, a może nawet i dalej. Jak u Jeana Baudrillarda – kopia uśmierciła oryginał, a Szlak Podrabianego Jedwabiu swojego dostojnego przodka. I świat kręci się dalej. Oto, co można ujrzeć na bazarze w mieście Osz.

Tymczasem Issyk-kul, drugie pod względem wielkości górskie jezioro świata, raczej rozczarowuje. Być może wywarło na nas takie wrażenie dlatego, że widzieliśmy już podczas tej wyprawy sporo innych niezwykłych miejsc? Zapewne jednak ma swój nieodparty urok, lecz trzeba by go lepiej poszukać. Tak czy inaczej, nad Issyk-kul zjeżdżają się wczasowicze z regionu, a najwięcej z kryjącej się za pobliskim pasmem górskim kazachskiej Ałma-Aty. Nie ma

Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej

czemu się dziwić – odległość stamtąd do najbliższego morza trzeba liczyć w tysiącach kilometrów.

Kazachstan

Kazachstan był ostatnim krajem naszej azjatyckiej odysei. Naszą uwagę przyciągnęły jego „dwie stolice”: stara – Ałma-Ata oraz nowa – Astana.

Ałma-Ata, dzisiaj przez Kazachów nazywana Ałmaty, to pięknie położone u podnóży kończących się tu pasm Tien-szanu miasto. Z centrum tego molochu można dojrzeć śnieg na szczytach. Nie ma tu (jak i właściwie w całym Kazachstanie) prawie żadnych zabytków, lecz szerokie zacienione aleje miasta posiadają swój urok. Można obejrzeć wielkie budynki użyteczności publicznej w stylu minionej epoki, a także przeuroczy sobór wybudowany na początku XX wieku według projektu rosyjskiego architekta Zienkowa. Wcześniej cerkiew widzieliśmy jedynie w Samarkandzie. Ta jednak była zdecydowanie piękniejsza – oko nie mogło się nacieszyć grą jej barw. A w środku – Rosjanie. W Ałmaty spotykało się już sporo Rosjan, wcześniej widoczni byli właściwie jeszcze tylko w Taszkencie. A na prowincji byłych „kolonizatorów” nie widziało się niemal w ogóle. Większość, wraz z rozpadem ZSRR, wyjechała, często porzucając ziemię, na której się przecież urodzili. Ich pobytowi nie sprzyja jednak polityka omawianych państw, na przekór czasom radzieckim faworyzująca obecnie rdzenną ludność. Byłe kolonie biorą swój symboliczny odwet na byłym kolonizatorze. Pozbywają się kompleksów i z roku na rok coraz śmielej patrzą w swoją przyszłość. Podczas gdy dorośli ludzie w znakomitej większości władają rosyjskim (choć niekiedy dość słabo), dzieci krzyczały już do nas *hello* i często odbierało im mowę, kiedy przekornie odpowiadaliśmy po rosyjsku *priviet...*

Kazachstan w swoją przyszłość patrzy ze szczególnie wielkimi nadzieja-

mi. To naturalny lider Azji Centralnej. Poziom życia jest tu wyraźnie najwyższy, ceny wysokie, a wszystko to oczywiście za sprawą bogatych złóż ropy naftowej. U podnóży gór w Ałmaty wyrastają nowe wieżowce, lecz prawdziwą ekstrawagancją na miarę wysokich ambicji Kazachstanu jest jego nowa stolica – Astana.

Cały Kazachstan przyszło nam przejechać autobusem. Zważywszy na niemałe rozmiary tego kraju, była to dość męcząca wycieczka. Sezon wakacyjny był jednak w pełni i bilety na wszelkie pociągi we wszystkich dosłownie kierunkach były wykupione na kilka dni naprzód. Droga wiodła przez nieobjęte pustkowia. Jak okiem sięgnąć, wokół rozciągał się monotony step. I nagle z tej martwej ziemi wynurza się nowa Astana – słowo to oznacza po kazachsku zwyczajnie „stolicę”.

Trzeba przyznać, iż prezydent Nursułtan Nazarbajew, przenosząc w 1998 roku stolicę do prowincjonalnej Akmoły (w czasach radzieckich miasto nazywało się Celinograd) wykazał się nie lada odwagą. Mógł przecież spokojnie rządzić sobie krajem z ładnej Ałma-Aty i cieszyć się pięknym widokiem masywu górskiego z okien swojego gabinetu. Wbrew, wydawałoby się, rozsądkowi przeniósł się jednak, zabierając ze sobą niezbyt zapewne zadowolonych z tego ministrów i resztę rządu, w środek nieprzyjaznej, pustej ziemi. W martwy pas, akurat pomiędzy urodziwym południem, a mającą już syberyjskie cechy północą. Cóż, w Azji wola władcy jest rzeczą świętą i choć wad tego stanu naliczyć można co niemiara, władca taki, jeżeli tylko zechce i ma własną wizję może stać się twórcą. Europa przetrawia swoją historię, a Azja rośnie w siłę i tworzy nową jakość. Na gorących piaskach Arabii, woła szejka Al-Maktouma, rośnie nieprawdopodobne *megapolis*, które tylko z braku lepszych określeń nazywamy „miastem”, a mianowicie Dubaj – nowa symboliczna stolica świata. Władcy Kataru, Kuwejtu czy Bah-

Budowanie tożsamości krajów Azji Centralnej

r



Nowa Astana, Kazachstan, fot. M. Milczarek

ajnu nie chcą jednak pozostać daleko w tyle. Chińczycy na wschodnim, zajęтым wcześniej przez biedne przedmieścia brzegu rzeki Pu budują nowy Szanghaj. Malezyjczycy wnieśli Kuala Lumpur, budzą się Indie... Jeżeli nie najważniejsza, to zapewne jedna z ważniejszych kart historii XXI wieku zostanie zapisana przez Azjatów. Owo „przesunięcie na wschód” da się już wyraźnie odczuć. Jednym z jego akcentów jest właśnie również Astana.

Najlepiej podziwiać jej panoramę z przeszkłonej kuli umieszczonej na szczycie stumetrowej wieży Bayterek, piętrzącej się w sercu dopiero co powstałego miasta. Wokół wyrastają nowe osiedla, wieżowce oraz dźwigi. Za nimi, w dali – podmokłe trawiaste stepy... Astana wciąż jest jeszcze nieśmiała, ale już odniosła sukces. Jej mieszkańcy są z niej dumni, nazywając ją pieszczotliwie *nasza krasawica*. Jej uroda jest dziełem znakomitego japońskiego architekta Kisho Kurokawy, który przy tworzeniu projektu posłużył się ideami organicyzmu – miasto w jego wizji ma być „organizmem otwartym”, sposobnym do rozrostu i ewolucji. Nie można też nie wspomnieć o powstającym w Astanie sztucznym, wysokim na 150 metrów „namiocie” z nowoczesnych przezroczystych materiałów, który ma przykryć powierzchnię o wielkości 100.000 m². Ma on zmieścić pod sobą centrum, w którym i zimą i latem będzie panować temperatura oscylująca wokół 20°C, a mieszkańcy będą

mogli się cieszyć ulicami, centrum rekreacyjnym, małym polem golfowym, licznymi sklepami oraz rzeczką, po której będzie można popływać łodzią... Na zewnątrz tymczasem może być - 35°C – w końcu Syberia tuż-tuż. Ten powstający już projekt firmuje tym razem Sir Norman Foster.

Prawdziwie mistyczne doświadczenia czekają jednak na szczycie Baytereku. Na postumencie znajdują się bowiem zapisane w trzech językach błogosławieństwa oraz odcisk prawej dłoni Prezydenta. Można do niej przyłożyć swoją i spojrzeć przed siebie. Na wprost, nieznacznie oddalony, wznosi się monumentalny pałac, gdzie zamieszkuje autor owego odcisku. Przez tę chwilę doznaje się mistycznej jedności z Prezydentem Nazarbajewem. Przez ciało i umysł przepływa dobroczynna energia mająca zapewnić szczęście całej kazachskiej ziemi na wieki wieków.

Kim więc jesteśmy? – pytają siebie samych nowe kraje Azji Centralnej. Odpowiedzi na to pytanie nie zna jednak nikt – ani one same, ani tym bardziej my. Pytanie o własną tożsamość nigdy zresztą nie powinno przestać pulsować swą powracającą siłą. Zwłaszcza w przypadku krajów młodych. Tożsamość ustalona raz na zawsze jest tożsamością skostniałą, martwą. Być może, niejako wbrew sobie, w momencie, gdy zastyga – umyka. Nie należy się więc w pełni zadowalać żadną z odpowiedzi, tym bardziej nie można jednak zaniechać pytania. Przeciwnie, należy wciąż je ponawiać. Pozostawiamy je przeto otwarte, w oczekiwaniu na nowych odkrywców. A nasza odpowiedź, ów skromny, subiektywny przyczynek, o tyle jest odpowiedzią, o ile oczekuje kolejnej.

Wrzesień 2008

Michał Milczarek
Filologia Rosyjska, IV rok



Kraków 2008